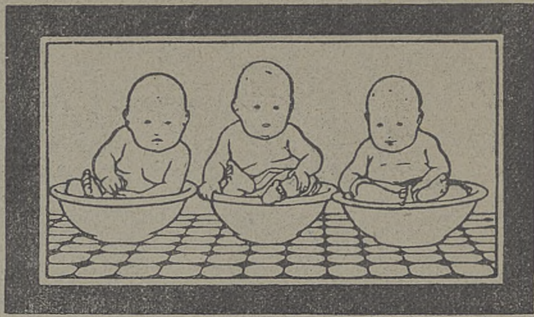
№ 20. Warszawa, 8 Października 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny



№ 20. Warszawa, 8 Października 1910 r.

Odrodzenie

Tygodnik polityczno-społeczny, literacki i artystyczny.

Redakcja i administracja: Trębacka 10. Telefon 144-40.

Nowa rzeczpospolita.

Jerzy Huzarski.

Jak grom z jasnego nieba, spadła na Europę wieść o gwałtownym przewrocie na półwyspie Pirenejskim. Oczywiście *post factum* okazało się, że wszyscy i wszystko oddawna wiedzieli, że zamach stanu nie był dla nikogo niespodzianką. Bo tak już zwykle bywa!

My coprawda nie należeliśmy do tych szczęśliwców, którzy wszystko przewidzieli, wszystkie tajemnice klubów lizbońskich zawczasu przejrzeli. Dla nas więc, jako dla zwykłych śmiertelników, nagły przewrót był gromem z jasnego nieba.

Zbyt dobrze pamiętamy jeszcze niedawne mroczne czasy, gdy za życia smutnej pamięci Carlosa, a za rządów jeszcze smutniejszej pamięci dyktatora Franca zaludniały się wilgotne wnętrza kazamatów fortecznych, gdy republikanie masowo więzieni w tych kamiennych workach klęli złą przemoc, w zwątpieniu sądzili, że władza despotyczna na długie czasy utrwaliła się w Portugalji. Toć zaledwie trzy lata temu setkami deportowano obrońców wolności za każde śmielsze słówko, za szlachetniejszy poryw, piękniejszy giest.

A potym nadszedł krwawy dzień, gdy pod krzyżowym ogniem spiskowców poległ Carlos i jego starszy syn, a na tron wstąpił młody Manuel.

Nieżałowany przez nikogo, stoczył się stary król w mroki niebytu: lekkomyślny, bardziej dbały o sprawy kuchni, niż o sprawy swych poddanych, rozmiłowany w uciechach życiowych, a jednocześnie pełen uporu i despotyzmu — Carlos nie cieszył się zbytnią sympatją ludności. Jak wszyscy słabi, a jednocześnie uparci ludzie, łatwo poddawał się wpływowi różnych awanturników, którzy potrafili urabiać jak wosk jego wolę, schlebiając mu i ulegając w drobiazgach.

Ostatnim z awanturników tych był głośny przed kilku laty, choć dziś zapomniany dyktator Franco. Opętał on wpływem swym króla, pchał go na najniebezpieczniejsze tory, nakłaniał do użycia najgwałtowniejszych środków, tłumił w rodzinie królewskiej wszelkie szlachetniejsze odruchy, spychał ją na bezdroża despotyzmu.

W Portugalji postępował on, jak w zdobytym kraju: zniósł gwarancje konstytucyjne, zbierał Korteże (parlament), drogą korupcji fałszując wybory, samowolnie wprowadzając doń swe kreatury, a gdy i taki parlament nie był dość uległym, rozpędzał go bez skrupułów.

Aż wreszcie nadeszła chwila porachunku, który całym ciężarem swym padł na króla i jego rodzinę, podczas, gdy Franco wyszedł ze sprawy bez szwanku. Utracił on władzę równie szybko, jak ją pozyskał, lecz ocalił życie i natychmiast po zamachu, widząc, że dłużej już nie będzie mógł szafować cudzą krwią i skórą, że będzie musiał postawić na kartę własne życie, wolał wyjechać za granicę, kryjąc w zaciszu nadmorskich okolic francuskich swe talenty administratora i aspiracje męża stanu.

Lecz rzucone przezeń zarzewie pozostało, rozjątrzona ludność zachowała w sercu gorycz i głęboką nieufność względem dynastji,

która przez tak długi czas wydawała ją na łup ambicji i okrucieństwa zuchwałego awanturnika.

Zaś słaby, młodziutki i niedoświadczony król nie był w stanie usunąć tej nieufności i goryczy. Niewątpliwie był on pełen najlepszych chęci, skłonny był do najdalej idących ustępstw, byle zachować tron, no i... listę cywilną, dającą mu możność zaznania uciech życiowych, w których gustował niemniej, niż jego ojciec.

Ale wśród tak wzburzonych żywiołów same dobre chęci sternikowi nawy państwowej starczyć nie mogły. Manuelowi brak było orlego wzroku, niezbędnego mężowi stanu, brak mu było powagi, stanowczości. Otoczony ludźmi słabymi, jak minister Soza-Rosa, podobnie jak król pozbawiony zdolności, lub też intrygantami, dla których tron był przykrywką, pod którą czaiły się najniższe apetyty, nie potrafił król wytknąć sobie linji postępowania, improwizował czyny swe z dnia na dzień, działał chwiejnie, wciąż wzmagając nastrój niezadowolenia z rządów monarchicznych.

I oto stało się, co się stać musiało. Partja republikańska z dniem każdym zyskiwała nowych zwolenników, z dniem każdym rosły szeregi tych, którzy w radykalnym przewrocie widzieli jedyne wyjście z szkodliwego dla kraju położenia.

Wybuch wulkanu rewolucyjnego wywołał wreszcie prowokacyjny wybryk monarchistów, którzy na przywódcę republikanów nasłali zbira-psychopatę, spodziewając się, że armia pozbawiona jednego z najdzielniejszych wodzów pójdzie w rosypkę.

Lecz rachuby te zawiodły: ludność na gwałt odpowiedziała zdobyciem pałacu królewskiego i zaprowadzeniem rzeczypospolitej, a olbrzymia większość armji oraz marynarki poparła ją w tym przedsięwzięciu.

Dziś monarchja portugalska należy do przeszłości i trzeci już z kolei romański naród po wsze czasy wyzwolił się z pod jarzma despotyzmu: pierwszym był naród francuski, drugim włoski, obecnie za przykładem poprzedników poszedł naród portugalski. Czy prędko przyjdzie kolej na Hiszpanję — czas pokaże. Ale liczne objawy każą spodziewać się, że wkrótce i dla niej wybije na zegarze dziejowym przełomowa godzina. Przykład sąsiedniej i pobratymczej Portugalji niewątpliwie znacznie przyspieszy tę godzinę.

Należy zauważyć, że dla Portugalji operacja była mniej bolesna i uciążliwa, niż dla innych narodów romańskich; była wprost zabawką w porównaniu z długą, bo ośmdziesiąt lat trwającą kuracją Francji, kuracją trzykrotnie niweczoną przez recydywę i ukończoną dopiero po radykalnym upuszczeniu krwi pacjentowi w 1871 r.

Była ona też zabawką w porównaniu z wyczerpującą kuracją Włoch, zmuszonych staczać ciężkie boje z operatorem austrjackim, który nie lecznicze, lecz mordercze miał zamiary.

Jakie będą dalsze dzieje drobnego narodu portugalskiego — przewidzieć można bez trudu. Wytworzywszy zdrową atmosferę polityczną, niewątpliwie wzmocni on organizm, przyspieszy obieg krwi i w daleko szybszym tempie pójdzie po drogach rozwojowych.

Uwolniony od ucisku, tłumiącego bujne, pełne życie południowe, naród ten użyje swej niezaprzeczonej, acz tamowanej dotychczas energji na płodną działalność.

Taką działalność wróży stosunkowo bezkrwawy przebieg przewrotu, kulturalność, jaką wykazał naród w tej przełomowej chwili, ład i porządek, które zapanowały pod rządami władz tymczasowych.

Zdaje się, iż przekonanie nasze podzielają sfery o najlepiej rozwiniętym węchu i czuciu skórnym, a mianowicie giełda, która wobec przewrotu zachowała się jaknajspokojniej, reagując nań minimalną tylko zniżką kursu papierów portugalskich.

Fakt ten dowodzi, iż najostrożniejsze nawet żywioły pełne są zaufania względem odrodzonego narodu, wierzą, iż pod nowymi rządami dobrobyt kraju nie zmniejszy się, lecz raczej wzrośnie.

Metody rozejmu.

Karol Wil—ski.

Odkąd ekonomiści i socjolodzy zdali sobie sprawę z podziału społeczeństwa na klasy, powstało też pojęcie o państwie i rządzie bezklasowym. Lecz w pojęcie to każdy wkładał inną treść, przytym dla każdego obok treści jawnej tkwiła w nim treść ukryta.

Dla liberałów starej szkoły najwyższą mądrość życiową wyrażała dewiza: *laissez faire, laissez passer*. Jawna treść tej dewizy brzmi: rząd i państwo są nadklasowe, więc wobec konfliktów między klasami winny one zachowywać się neutralnie. Lecz, jak łatwo zrozumieć, owa neutralność z bezklasowością godzi się nienajlepiej, i dlatego dewiza powyższa nie streszcza bynajmniej istotnej myśli liberałów. Albowiem wobec nieinterwencji państwa zwycięztwo osiągał zawsze silniejszy, że zaś kapitał był stokroć silniejszym od proletarjatu, przeto nieinterwencja oznaczała poprostu popieranie kapitału, sankcjonowanie jego przewagi. I owa sankcja, udzielona kapitałowi i jego panowaniu stanowiła istotną, ukrytą myśl, zawartą w dewizie liberałów. Że tak jest, widzimy choćby stąd, że liberalizm zapominał o swej dewizie, gdy silniejszym okazywał się proletarjat, gdy jego brutalna siła zagrażała bezpieczeństwu lub dobrobytowi Złotego Cielca. Wówczas zasada nieinterwencji szła w kąt i liberali szybko przywracali zachwianą „równowagę“ za pomocą sprężystego aparatu militarno-policyjnego.

Inaczej pojmuje zasadę bezklasowości państwa współczesny radykalizm. Dla niego bezklasowość równa się międzyklasowości, nie uznaje on więc stanowiska biernego widza zapasów, przechodzącego do roli czynnej wówczas dopiero, gdy zachodzi potrzeba „przytarcia rogów“ przedstawicielom pracy. Uznając państwo i rząd za międzyklasowe, uważa on, że obie te instytucje obowiązane są jednakowo dbać o dobro wszystkich klas, wobec czego powinny one zajmować stanowisko arbitra, kojącego konflikty międzyklasowe.

Radykalizm nie przeciwstawia się bowiem kapitalizmowi i akceptuje ustrój społeczny na gospodarce kapitalistycznej oparty; wie on, że wszelkie zaburzenia w organizmie kapitalistycznym odbijają się nietylko na pewnej klasie, lecz na całym społeczeństwie wogóle. Z drugiej jednak strony, opierając się na zasadach sprawiedliwości i humanitaryzmu, radykalizm żąda zabezpieczenia klasom pracującym pewnej minimalnej sumy korzyści. Wiedziony poczuciem ludzkości pragnie on zdjąć z ludu roboczego ciężkie jarzmo ucisku kapitalistycznego.

Niewątpliwie ostateczne pogodzenie dwuch tak głębokich sprzeczności, jak uznanie ustroju kapitalistycznego i przeciwstawienie się krzywdzie społecznej byłoby *à la longue* kwadraturą koła. Lecz radykalizm jest polityką danego dnia, nie zaś dalekiej przyszłości, to też nie szuka on rozwiązań ostatecznych, absolutnych, lecz tylko takich, które możliwie (w granicach istniejących warunków społecznych) zbliżają się do ostatecznego rozwiązania. Nie mogąc, czy nie chcąc za jednym zamachem rozprawić się z bolączkami ustroju przez zniesienie samego ustroju, pragnie on możliwie łagodzić te bolączki na drodze prawodawczej.

Uważając państwo za instytucję bezklasową, narzuca mu radykalizm rolę arbitra, hamującego zbyt gwałtowne zapędy stron obu, regulującego stosunek między kapitałem a pracą. Radykalizm ustanawia więc maksymalną długość dnia roboczego, minimalny wiek pracujących w przedsiębiorstwach robotników, zmusza do przestrzegania pewnych norm hygienicznych, do ubezpieczania robotników od kalectwa, choroby i śmierci na tle wypadków związanych z zawodem. W ten sposób łagodzi on krzywdy społeczne i zmniejsza wyzysk kapitalistyczny, stara się usunąć zawczasu źródło starć i zatargów między pracobiorcami a pracodawcami.

Wogóle zapobieganie ewentualnym konfliktom i łagodzenie tych, które już wybuchły, stanowi jedną z głównych trosk radykalizmu. Tworzy on więc specjalne instytucje, jak np. francuskie „conseils des prud'hommes”, w których zasiadają przedstawiciele obu stron, a które rozpatrują wszelkie spory i nieporozumienia między robotniczymi owieczkami i strzygącymi je kapitalistycznymi wilkami.

Oczywiście to com przedstawił powyżej jest ogólnym schematem radykalizmu lub liberalizmu społecznego. W rzeczywistości kraje rządzone przez liberałów pod naporem socjalizmu uchwalają częstokroć reformy wchodzące

w skład programu radykalnego, czasem przytrafia się to nawet w państwach rządzonych przez konserwatystów; zato czasem w krajach, w których przewagę osiągnęły żywioły radykalne, nie wszystko dzieje się w myśl programu radykałów, gdyż rozpędową siłę reformatorską w znacznym stopniu hamują żywioły wsteczne.

*

* *

Gdy od teorji przejdziemy do praktyki życiowej różnych krajów Europy, gdy przyjrzymy się faktom konkretnym, poznamy dokładniej, w jaki sposób przejawia się tu i tam owa bezklasowość państwa.

Przykładu dostarczą nam trzy różne konflikty między kapitałem a pracą w trzech różnych krajach i państwach.

Niemal jednocześnie w Anglji wybuchł potężny strejk w przemyśle przędzalnianym, a w Niemczech głośny strejk moabicki. W Anglji na strejk kapitał odpowiedział lockoutem, i oto konflikt rozszerzył się i zaostrzył, przynosząc dziesiątki tysięcy rubli strat dziennie. Oczywiście straty pokrywają nietylko wojujące strony, lecz i ogół, gdyż przy obecnym ustroju kapitalistycznym wszystko wiąże się i łączy, tak, że skutki pewnego stanu rzeczy odczuwają nietylko zainteresowani lecz i całe społeczeństwo. Wobec tego rząd, jako przedstawiciel owego *całego społeczeństwa*, uznał za swój obowiązek interwenjować w tej sprawie. Lecz ponieważ obecny rząd angielski składa się z radykałów, szanujących zasadę nadklasowości, przeto nie przyłączył się on do żadnej z walczących stron, lecz wystąpił w roli pojednawcy.

Przedstawiciel ministerjum handlu, Asquith nawiązał układy z jedną i drugą stroną, i stanął między nimi, jako rozjemca, nawołując do pojednania, do wzajemnych ustępstw. Oczywiście, o ile usiłowania te pożądanego skutku nie wywołają, rząd usunie się na bok i stanie się biernym widzem zmagań. Jest on bowiem rozjemcą, i po za tę rolę nie wychodzi, gdyż przekroczenie tej granicy, wejście na drogę przymusu naruszyłoby podstawy współczesnego prawa, byłoby zamachem na swobody obywatelskie, święcie szanowane przez rząd a energicznie bronione przez społeczeństwo.

Tak oto przedstawia się taktyka radykalizmu; owocem jej bywa zazwyczaj pojednanie walczących, lecz nawet gdy to zawiedzie, dzięki takiemu postępowaniu rządu udaje się utrzymać konflikt w granicach legalności, zabezpieczyć go przed nadmiernym zaognieniem, przed przejściem w krwawy bój.

W Niemczech, gdzie rządzi feodalny konserwatyzm, poparty przez pseudo-liberalne mieszczaństwo, stanowisko rządu wobec podobnych starć jest zgoła odmienne. Widzieliśmy to świeżo w Moabicie, gdzie rząd popieraniem jednej strony a systematycznym jątrzeniem drugiej, zaognił konflikt i doprowadził w krótkim czasie do gwałtownych rozruchów i poważnego przelewu krwi. Trudno przypuścić, by ów przelew krwi przyniósł korzyść społeczeństwu lub nawet jakiejkolwiek jego części; trudno przypuścić nawet, by przyczynił się do załagodzenia konfliktu.

Lecz wszechwładny *junkier* pruski nie należy do stworzeń, umiejących rozumować i myśleć, on potrafi tylko gnieść, dopóki.. ucho się nie urwie. Że takie wybryki, jakie miały miejsce w Moabicie, moment tego „urwania się ucha" zbliżają niepomiernie — o tym nie można wątpić.

*

* *

Trzecim konkretnym faktem, ilustrującym metody rozejmu, był niedawno zakończony w Warszawie strejk służby tramwajowej.

W strejku tym zwraca uwagę swoiste zrozumienie swej roli przez władze, które dewizie *laissez faire* przeciwstawiła: *faites faire* i siłą zmusiła służbę tramwajową do pracy. Jest to zgoła nowy system reagowania na strejki, system, którego ocena z punktu widzenia prawnego byłaby nader ciekawą. Gdyż, jakkolwiek w państwie rosyjskim niema *habeas corpus*, zaś istnieje ochrona wzmocniona, to jednak ta ostatnia opiera się na określonych przepisach prawodawstwa. W myśl przepisów tych w stosunku do strajkujących istnieć może jedynie *sankcja karna*, lecz nigdy przymus. Obowiązujący u nas kodeks nie zna bowiem przymusu w kwestji pracy, wyjąwszy pewne ściśle określone wypadki, a mianowicie skazanie na przymusowe roboty. Lecz skazanie na tę karę może nastąpić jedynie na mocy wyroku sądowego, władze administracyjne zaś, w myśl przepisów o ochronie wzmocnionej, mogą skazywać tylko na areszt. Tymczasem, wobec tego, że kodeks w kwestji pracy i w stosunku do niepozbawionych praw obywateli nie zna — jakem powiedział — przymusu, lecz tylko sankcję karną, musimy przypuścić, iż konduktorzy tramwajowi byli zmuszani do pracy

nie jako tramwajarze, lecz jako więźniowie, a zatym władze administracyjne nałożyły na nich nie karę aresztu, lecz przymusowych robót, na co znów przepisy o ochronie wzmocnionej nie pozwalają.

Tak przynajmniej nam przedstawia się ta kwestja pod kątem prawnym, a ciekawi bylibyśmy dowiedzieć się, jak zapatrywałby się na nią senat, który jest ostateczną instancją w sprawie legalności postępowania organów administracyjnych.

Lecz pominiemy kwestję teorji prawa i zastanowimy się nad stosunkiem społeczeństwa i reprezentującej je prasy do ostatniego strejku. Stosunek ten był dziwnie nieokreślony: jedne pisma milczały, inne wypowiadały się w sposób tak mętny, że z trudem tylko udawało się nam wyczuć nastrój tych głosów. W sposób jasny wypowiedziało się jedno tylko „Słowo". Organ konserwatystów naszych stanął mianowicie na tym stanowisku, iż tramwaje nie są przedsiębiorstwem czysto prywatnym, lecz t. zw. przedsiębiorstwem użyteczności publicznej, a wskutek tego społeczeństwo, *respective* rząd ma prawo i obowiązek interwenjować, gdy chodzi o normalne funkcjonowanie tego przedsiębiorstwa. Z tym założeniem ostatecznie możnaby się zgodzić, gdyby szanowny organ realistów nie zapomniał o pewnym drobnym szczególe. Oto wszelkie prawa pociągają za sobą też i obowiązki. Jeśli więc w sprawie tramwajów społeczeństwo ma prawo wymagać, by jego potrzeba posiadania niezbędnych środków komunikacji była uwzględniona, to ma też ono obowiązek czuwać nad tym, by potrzeby tej nie zaspakajano kosztem krzywdy biednych oficjalistów i urzędników.

Tak przynajmniej pojmuje kwestję tę Zachód, gdzie zarząd miast, jako przedstawiciel społeczeństwa, zabezpiecza interesy pracowników przesiębiorstw „użyteczności publicznej" (de l'utilité publique). Tak. np. zarząd miasta Paryża, gdy udziela koncesji na eksploatowanie gazu, elektryczności, komunikacji tramwajowej lub kolejowej (Metropolitain), zastrzega w kontrakcie *minimum* płacy dla pracujących w danym przedsiębiorstwie. Wywiązawszy się w ten sposób ze swego obowiązku, ogół ma prawo żądać, by i pracownicy wywiązali się ze swoich.

Niestety nasz magistrat w ten sposób obowiązków swych nie pojął, a społeczeństwo ani prasa nie przypomniały mu ich nigdy. „Słowo", które dziś tak głośno mówi, o prawach społeczeństwa, o obowiązkach jego nie pisnęło nigdy jednego słówka.

Może obecnie raczy ono pomyśleć nad tym, może uświadomi sobie, jaka metoda rozejmu jest najstosowniejsza wobec konfliktów między kapitałem a pracą, może pojmie, że najstosowniejszą metodą rozejmu jest rozejm *przed konfliktem*, zapobieganie wybuchom.

I może w swym sercu, tak czułym na los publiczności, zmuszonej do używania dorożek lub chodzenia pieszo, znajdzie też kącik dla pracowników, zmuszonych wyżywić się wraz z rodzinami z trzydziestu rubli miesięcznie.

SZCZĘŚCIE.

Szczęśliwa jestem?! O tak! jam szczęśliwa,
jako ta lotna w przestworzu mgła siwa,
co jest dla ziemi za jasną, za czystą,
a za błękitów kopułę gwiaździstą
wzlecieć — nie może...
szczęśliwa jestem, jak słońca blask złoty,
co z niewysłownej mrze wiecznie tęsknoty,
że — nad nędzami nie świeci wszystkiemi,
że — nie rozzłaca wszystkich łez na ziemi
smutnym ugorze...

szczęśliwa jestem, jak wicher szalony,
co, z szumem lecąc przez czarne zagony
wśród nocy chmurnej, dżdżystej — zda się — wiecznej
skarży się głucho, że się wśród słonecznej
jaśni nie zrywa...
jako szarpana jesieni wichrami
wątła brzezina, bez sił i bez woli,
co wie, jak niemoc i samotność boli,
i wie, że ran jej nikt nie skropi łzami —
jestem — szczęśliwa...

Alina Laurysiewiczówna.

Mocne mi szumi w głowie wino...

Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew,
W krąg słodkie dźwięki harfy płyną,
Jakiś namiętny śpiew.
Jakiś mnie żar całunków parzy,
Słyszę głos wyznań, skarg.
Czuję twarz czyjąś przy swej twarzy
I wargi tuż swych warg.
Ust mi daj jeszcze swych, dziewczyno!
Bo już mną miota gniew.
Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew...

Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew,
Twarz włosy czyjeś mi owiną,
Kędziorów złotych zwiew.
To twoich jasnych splotów szarfa
Skroń mi spowija wkrąg,
To twoich pieśni rzewna harfa
Brzmi pośród pól i łąk.
Chodźmy wraz błądzić nad doliną,
Gdzie róż się płoni krzew,
Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew...

Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew,
Prujemy morza głębię siną
Wsłuchani w krzyki mew.
Tyś przy mnie, miga twoja postać,
I włosu złota nić,
O, chciałbym tak na wieki zostać
I tak bez końca śnić!
Czar pryska, wizje nagle giną,
Gdzieś wśród bezgwiezdnych stref,
Mocne mi szumi w głowie wino,
Gorąca huczy krew...

Stanisław Jerzy Kozłowski.

LIST.

Sewo Romin.

Jorisaka-San do prof. Stefana Rulda w Lipsku.

Przemożny Panie! Korzę się przed mądrością Twoją i rozpostarty u stóp Twoich, proszę Cię, wysłuchaj nieudolnej tej opowieści badań najnędzniejszego z uczni Twoich. Przed laty w światłych słowach wykładałeś mi twierdzenia, znane ludziom białym a niepojęte dla barbarzyńców przybywających z kraju Mikada do Twojego kraju. Wspomnij panie. Był zmierzch. Czerwony Zachód konał, zmagając się z czarnymi hufcami nocy. Oparty o framugę okna stałeś na pograniczu dnia zamierającego nazewnątrz i nocy wszechwładnej już w pracowni.

Po stalowych krawędziach pełzały długie cienie i brały w posiadanie komnatę. Drżałem lękliwie, skulony u stóp Twoich i słowa Twe padały w ciszy zmierzchu i zarywały się w mózg, jak metaliczne złomy, spadające niekiedy z roziskrzonego gwiazdami nieba na zaoraną równię pól, a noszące miano meteorytów. Mózg krwią pęczniał mi w skroniach, stukało sto młotów, gdyż wykazując nowe prawdy, niweczyłeś wierzenia przodków, co moimi były.

Odbierając wierzenia przodków moich, samurajów, sprawiałeś mi ból niewysłowiony, krom zwątpienia nie dawałeś wzamian nic.

Mówiłeś...

...Że uczucie miotające młodym wielmożą, kiedy matka-księżniczka trąca struny odwiecznego „koto“ i opiewa niewidzialną obecność dobrych „kami“.

...uczucie tragicznego poety piszącego dramat ...myśl i uczucie wszelkie, i te, które ukochał, i te, którymi się szczyci i których się wstydzi, o których nie wie lub znać ich nie chce, wszystkie one wyrazić można zdaniem liczebnym, tak jasnym, jak stylograficzne arcydzieło Hokusai'a.

Mówiłeś, że droga ku prawdzie—słoneczna i oto dałeś mnie, odartemu z wiary, z miłości, z nadziei, ciekawość zagadek wszechświata.

Dałeś mi ciekawość zagadek wszechświata, jak miłosierny przechodzień darowuje ubogiemu ślepcowi mocny kij...

...Więc woli wodzą czyniącego sobie „harakiri“.

Więc woli zdrajcy gubiącego kraj, woli i żądań wszelakich nie ukształtował nakaz czerwonogłowego przodka, lecz drgania mózgu.

Chciałeś Panie uchwycić myśl ludzką, drgania mózgu na czułej utrwalić płycie i sporządzić pisownię, której litery odpowiadałyby słabym lub silnym łyskom onej płyty, pisownię, której zdania odczytane na ekranie zdradziłyby wszelką myśl ludzką, i tę, którą się człowiek szczyci, i której się wstydzi, o której nie wie, której znać nie chce, gdyż wielce różne są myśli człowiecze.

— — — — — — — — — — —

Od lat wielu, skryty w głębiach pałacu cesarskiego pracuję i pracuję mozolnie. Mikado raczył zająć się mną i w dobrotliwości swojej zamurować nawet rozkazał wejście do mojej pracowni, abym nie pokusił się tracić krótki żywot na igrzyska pałacowe i pieszczotę żon. Tylko w południe niewolnik przesuwał posiłek przez kratowane okienko, tylko o zmierzchu dochodził mnie głos księżniczek, śpiewających hymn o rycerzu idącym na walkę, po tryumf, po skon.

I jeszcze jedno. Kiedy późną nocą pracowałem żarliwie, w okienko pukano dłonią trwożną jak skrzydło spłoszonego gołębia i Otani-sa, wierna moja narzeczona od lat wielu wołała. Szloch ogromny. Błagania. Pamiętasz? Jonsaka-San! Zmiłuj się!

Otani-Sa czołgała się za oknem i cicho, bardzo cicho, aby nie zwrócić uwagi strażników pałacowych, konała z rozpaczy codzień ponownie. Tak było od lat, ale nigdy nie odpowiedziałem jej, jakkolwiek łzy jej padały mi na duszę jak ogień piekielny.

Niekiedy mówiłem sobie „Oby już umrzeć“. Zaciskałem zmęczone niewywczasami powieki i oto ukazywałeś mi się w aureoli białych włosów, surowy, nieubłagany.

Z wązkich warg wykradał się bezdźwięczny głos: „Czyń Josaka“! Więc daremne były błagania Otani-Sa, daremne bunty młodych sił, daremne wspomnienia o białym kwiecie czereśni woniejącym nad brzegiem srebrnych cesarskich sadzawek. Życie moje splotłem w węz-

lowaty sznur. Założyłem nań ostry hak woli i zapuściłem w bezdenną przepaść wiedzy. I wznosiłem latami tajemny ciężar, oraszając mój trud krwią serdeczną, aż nakoniec dokonałem dzieła.

Odnalazłem Panie rzeczywistość Twoich marzeń. Jak muzyk szukający harmonji między lutnią a narzędziem do wzięcia tonu, tak i ja starałem się uchwycić akord subtelny braterstwa myśli, tego drgania, drgania mózgu i światła, tego drgania wszechświata.

Na płycie mojej świetlne zwoje znaczą myśl ludzką i tę, której się wstydzi i którą rzuca bliźnim, jak cenny graniasty klejnot, i której nie zna, o której wiedzieć nie chce. Dziś więc, Panie, czytałem myśli moje. I były one nędzne. Święty zapał naukowy był tylko pychą. Bohaterskie poświęcenie ukochanej Otani-Sa—niezdrowym omamieniem. W ciemności jaśniał czarodziejski ekran. Przed zrozpaczonymi oczami sunęły się mary, widziadła niewysłowione. Duchy piekła zginały pokraczne tułowie na haczykowatych nogach i chichotały: „Zaprzepaściłeś życie"!

Jak codnia, łkała za oknem narzeczona moja, a ja posępny, mroczny śledziłem falującą linję życia do chwili, kiedy śmierć uczuje złotolite nici przędzone na wrzecionie myśli. Pomyślałem, Panie, że to co ludzie zwą śmiercią, a co jest tylko chwilą dzielącą znane od nieznanego, nie jest zakończeniem, gdyż jedna krótka chwila nie może zniweczyć pracy pokoleń i życia człowieka.

A przecież myśl ludzka wzrosła jak niemowlę, co staje się rycerzem, a lata jej życia liczą się wiekami istnienia ludów.

Kiedy człowiek w przystępie brutalnego gniewu zabija, z jego subtelnej, wyrafinowanej myśli wyłania się nieudolne dumania przodka jaskiniowego, którego ciało było włochate, a szczęka wysunięta naprzód.

A co wieki stworzyły, wieki tylko zniszczyć mogą. Więc pomyślałem, że to co ludzie zwą śmiercią, jest tylko początkiem wiekowego zniszczenia, tak jak narodziny dziecięcia są uwieńczeniem wiekowej budowy.

Blady świt szarzał już nad wierzchołkami drzew pomarańczowych, okwitających w dali. I błagała ciągle Otani-Sa, abym na tęskniących jej ustach wycisnął pocałunek ukojenia. Raz jeszcze przeszyła mnie dręcząca świadomość, że zniszczyłem życie moje i oto zbliżać zacząłem się ku kracie...

Szamotanie.... Prośby.... Brutalna pięść strażników pałacowych zmięła delikatne ciało Otani-Sa i uniosła je.

Słońce śmiało się już jasnymi promieniami i nowy następował dzień. Cierpiałem. Miłość uśpiona, zagasła jakoby, buchnęła gorącym wirem. Serce łopotało w piersiach. Jestestwo moje porwały ogromne potęgi i niosły po obszarach ludzkiej troski. Widniały przed oczyma słowa pradawnego tekstu.

...Jeśli więc kobieta z rodu samurajów woli cesarskiej nie uzna, głowa jej ściętą zostanie ręką czerwonego kata. Jeśli dziewicą jest, odniesie sługa głowę rodzicom lub krewnym i odda ją. Oby nie mściły się „Kami"! Jeśli narzeczoną, odniesie sługa głowę narzeczonemu i odda ją. Oby nie mściły się „Kami"!

Przechodził dzień. Krwawe było moje serce i konały tragicznie krwawe pasma światła na powierzchni srebrnych cesarskich sadzawek. Krzyczały żórawie, marabuty, pelikany, pawie.

Głosi pradawny tekst... Co za ból! W pracowni zmierzch, jak przed laty, rzuca cienie na stalowe krawędzie maszyn. Zmierzch smutny. Porwałem manuskrypty i zapaliłem na trójnogu zioła wonne na cześć Buddy...

Teraz w pracowni wznosi się dym kadzideł i jaśnieje sztuczne białe światło. Prószy się odurzająca woń kwiatów. Bardzo spokojny-m już, Panie. Lotosy śnieżne, jak śniegi dziewiczych gór zasypują podłogę. Orchidee dziwacznie czerwone, jak grymaś złośliwego bożka, pasiaste, jak tygrysice, pokrzywione jak gdyby się wiły w okropnych mękach na stosie, orchidee spięte emaliowanemi klamrami, obramowują mury.

Wznoszą wątłe łodygi irysy w wązkich srebrnych flakonach. Na marmurowym stole między czarnymi, śmiertelnymi rysami spoczywa głowa Otani-Sa. Głowa ta jest piękna. I zamiera ona powoli. A czarne rysy, włosy, rdzawe orchidee więdną i mrą jak gdyby były czarnymi włosami, złotymi piersiami, czerwoną krwią zmarłej. Teraz jednak Otani-Sa żyje. Na jej żółtej, jak matowe złoto skroni, spoczywa róg świetlnej płyty. I widmowe znaki twierdzą, że to co ludzie zwą śmiercią jest tylko początkiem wiekowego zniszczenia.

Więc jak kroczy Mikado po marmurowych stopniach pałacu, tak zstępuje życie głowy po wszystkich stopniach stworzenia. Prawo boskie, odwieczne, płaci za radość cierpieniem, za ból szczęśliwością. Więc ta, której życie

było udręczeniem, staje się władczynią kwiatów. Prowadzi z nimi nieuchwytną rozmowę. Korzą się przed nią rośliny i za muśnięcie martwych warg płacą skonem.

I więdną wszystkie, wydając woń szpitalną. Tak głosi płyta. Wiem teraz, Panie, że wiedza Twoich i Twoja jest można. Ale odrzekam się jej, i dla własnego mojego poznania, bom poznał rzeczy wielkie i możne, i znowu tłum dobrych genjuszów kołuje obok mnie! Kwiaty więdną. Życie głowy stało się niesłychanie subtelne, podobne do istnienia drogocennych ozdób, chronionych przez skrzydlate smoki na dnie morskim. Zmęczony-m, Panie, i oto kładę na wargach kwiaty, co spoczywały na ustach Otani-Sa i czytam jeszcze na płycie śmierć moją i początek nowego życia, które trwać będzie tak długo, póki materja i duch istnieć będą, póki słońce świecić będzie ziemi, a gwiazdy gwiazdom.

Z księgi „Zadumy”.

B. Szczęsny Herbaczewski.

I.

Mikrokosmom ducha.

Wzgarda bezbrzeżna wam — którym się nie rwie dusza do Piękna złotych bram—a podle czolga się po po ziemi brudnej pyle — — —

Wzgarda wszystkim wam — którym nieznane — obce są zachwytów dzieci jasne zorze — dusz cichych rozmodlenia czar — i zadum bogów twórcze chwile — u wiecznych Tęsknot bram — — —

Wzgardę bezbrzeżną dla was mam — — —

II.

Orle loty.

Pieśni morza słuchając, człowiek po falach chodziłby mógł, i na powietrze tchnąć duchy mnogie, — i posyłać wichry, jako ptaki morskie — na wschód i na zachód słońca...

Bo w pieśni tej jest słowo potęgi, jakiej człowiek nie odgadł jeszcze w sobie. Ale odgadnie, i stanie się w mocy, i dojdzie miary, na jaką wymierzony był duch jego na początku...

Marya Konopnicka.

Morze — — — Morze — — — Morze — — —

Ja — syn Kaina — witam Cię — z piętnem przekleństwa na czole — — —

Morze — — — Morze — — —

Z cierniem — co wrósł w me piersi — Ciebie witam — — —

Synaś — mnie — zawieszonego na cierpień krzyżu przyjęło — — —

Kaina—z piętnem i z cierniem—nie odepchnęłoś — a przyjęło mię — jak Anioł Boży dziecię — porzucone na progu izby opuszczonej — — —

O — Morze — — Morze — — —

Tyś mnie w przemożnej kołysało pieśni swej — mnie — Kaina nasienie wyklęte — — —

Morze — — Morze — — —

Tyś starło z czoła plamę tę czerwoną — — —

Tyś cierń ten okwieciło — co w piersi mi wrósł głęboko — — —

I oderwałeś mię od piekącego ramion krzyża i tuliłoś—by opuszczonych Matka — — —

O — błogosławione — — —

O — jak mi ogromnieje dusza Twym ogromem — bezmiarem Twym niewysłowionym — — —

O — jak przeciągają po niej Twe szumy prawieszcze — jasne — — —

O — jakżeż kołysze się ona Twym rozkołysaniem gniewnym i mocą władną — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Pójdę — — —

Do swoich pojdę—do ziemi mej powrócę smutnej — i przysiądę u miedzy — na przyźbie chaty moich z pieśnią — co wyogromni duszę im—co ją rozszumi — co rozkołysze wiarą — miłością — i nadzieją — — —

Pójdę — i na z szczytnych skał głazach ofiarnych — zapomnienia pleśnią porosłych od wieku — zagasłe zapalę znicze święte — — —

I rozkolebię serce — lud — by ku ziemi biło tej — gdzie próchnem krzyże leżą — gdzie groby krawawe bohaterów ścielą się bez końca w dal — — —

Pójdę — ja — możny dzisiaj pan — — —

I wielkie będzie lud mój — jako i Ty — Morze — — —

I zwycięzców będzie szumiał pieśnią lud mój — jako i Ty — Morze — — —

I w ekstazie mocy na orlich skrzydłach będzie się kołysał lud mój — jako i Ty — Morze — — —

Z pieśnią pójdę — tryumfu bramy wskazującą — do ziemi smutnej mojej — — —

I z promieniem słońca w piersiach — com go z niebios porwał — bym rozwidnił — ogrzał mrocznię ludu mego — — —

I z tym szumem — którym zgarnął z wiejących morza fal — bym lud mój zbudził ze snu śmiertelnego — — —

Z tym piorunem — co uwiązł mi w serca głębiach — pójdę — samolubne strzaskam serca — — —

A pieśń ta będzie cieniem — co jego znój ochłodzi i błogosławić będzie trud nad miarę wszelką krwawy — — —

A pieśń ta blaskiem będzie z nieba — co jego pot osuszy snadnie — jesieni groźny ociepli podmuch — — —

I nie zginie lud mój — bo kochać będzie on nad siłę i — pamiętać wiecznie — — —

I nie zginie lud mój — bo łba już giąć nie będzie — ni żalu k'niebu skowyt słać — by na łańcuchu pies — — —

I nie skwituje on z niczego — a na wszystko czekać będzie — konając jeszcze upornie czekać będzie na orle loty — na tryumfu hasło — na złoty róg wolności — — —

Nie zginie lud mój — — —

Morze — — — Morze — — —

III.

I nigdy już — — —

Ma jeunesse ne fut qu'un tenebreux orage,
Traverse ça et là par de brillants soleils;
Le tonnerre et la pluie ont fait un tel ravage,
Qu'il reste en mon jardin bien peu de fruits vermeils.
Charles Baudelaire.

— — — i już nie będzie o zmierzchu dni krótkich żywota mego żadna dłoń jasna kłaść się cieniem chłodzącym na rozpalonym czole moim — — —

— — — i nigdy już nie będzie białego pożaru kręgiem szalejącym koło oględnie wirowało Salom nagich ciał dokoła mnie — com okiem szklistym w tajemną Dal się wpatrzył — w czarnym tonącą mroków aksamicie — — —

— — — i nigdy do białości rozpalone słońca żywe Salom nagich nie rozgrzeją — ogniem pożądań nie rozpalą mnie — w zadumie o Nirwanie bliskiej ginącego — — —

— — — nigdy ich płomienne — srebrnożarne nie obejmą mnie ramiona — niby klamry z srebrnego spiżu już nie skują ciała mego — co się spaliło w tęsknot ogniu — jako na stepie spiekłym samotny ost — — —.

— — — i żadne wargi płomieniem wrzące — by płatki mistycznego kwiatu z rubinu roztopionej lawy — nie wcałują się w spękane w pożądań wiecznych bolu usta moje — i oczekiwanych przez wszystkie dni żywota mego nie wyszepcą w obłąkanym wirze zbawczych słów: —

— „chciej tylko — a gałęzie odegnę cieniste — co omrokiem świat ci zamykają — i w mym słońcu cię unurzam — śnie upragniony — śnie mój jedyny“ — — —

„Król Duch” w całości').

St. Mleczko.

(1. Konstrukcja. 2. Rapsod o ks. Dymitrze. 3. Wyspiańskiego zakończenie 4. Zredagowanie. 5. Głębiny i powierzchnia).

(VIII. Ciąg dalszy).

Nie przeczę, że może też znaleźć się inna zasada zespolenia części Króla Ducha, ani też twierdzę, że na podstawie tej, która mi się wydaje najlepszą, powiedziałem już słowo ostatnie; sądzę jednak, iż w każdym takim układzie, w takiej niezbędnej tu, możliwie przed-

miotowej idealizacji przedewszystkiem jednolitość i zbieżność, a nie rozbieżność części głównego tekstu, oraz jasność myśli przewodniej, co ukryta w głębinach ma też i swoją powierzchnię, swą falę bezpośrednio dostrzegalną, powinniśmy mieć na widoku.

Powtarzam: jasność, a nie żadną kabałę. mistyczną. Jest tajemnica w Królu Duchu, tak jak w każdym innym wielkim dziele twórczości ludzkiej, wszakże formalnie myśl jest tu ujęta nie w ciemną zagadkę, lecz w konsekwencję artystyczną, przystępną dla wszystkich myślących i wrażliwych na poetyckie piękno. Z intuicyjno-twórczej podświadomości w symbolach się ona ujawnia, które mają też swą logikę zewnętrzną. Słowacki nigdy dla zaciekawienia gawiedzi nie przedstawił żadnego ze swych utwierdzeń, choćby np. w postaci 44-ch, jeśli istotnie ta liczba u Mickiewicza, jak głosi ogólne przekonanie, kryje w sobie jakiś rebus, a nie wyłącznie symbol poetycki, jako tajemnica przyszłości [1]).

Ze zaś formalny artyzm tego nadwyczajnego utworu ukrywa poza sobą niezgłębione głębie i niedosiężną treść słowa ludzkiego, to inna kwestja. Te dostępne tylko dla wybranych, współczujących, duchem z twórcą pokrewnych i nie dla każdego w równej mierze. Jeśli nawet nie popełniłem żadnego błędu w swej idealizacji i rozstrząsaniach tego roztrzęsionego dzieła, to i tak zaledwo nikły zarys jego istotnej budowy i treści udało mi się wskazać i wyłuszczyć; lecz sądzę, daję kierunek i stanowisko ważne dla intelektualnego i artystycznego zmierzenia się z niezmożoną potęgą duchową w tym poemacie zaklętą.

Nie ulega wątpliwości, że śród bezmiaru fragmentów pozostawionych w autografach pieśni o Królu Duchu, Słowacki też do zgodności i jednolitości dążył, sam trudu wiele doznając i walkę z sobą tocząc i sądzę też, że nie były to „daremne trudy i wysiłki poety“, jak twierdzi jeden z najsumienniejszych krytyków naszych— i zaiste nadludzki, niesłychany ogrom ideowego zadania był sprawcą tego trudu, nie zaś jakoby tu niewłaściwa arjostyczno-tassowa forma opowieści, gdyż z formy tej poeta wykuł własne swoje nieporównane narzędzie, które było jeno „cudownym „taktem a nie wędzidłem“.

To też działy najlepiej wykończone artystycznie służyły mi za wskazówkę do orjentacji na drodze oczywiście przez Małeckiego już wskazanej, pomimo to wszakże niejeden ustęp niezrównanie piękny do układu tego wejść nie może, a i sam autor w rezultacie napewno wiele tu wytworzonych pomysłów musiałby odrzucić i spaliłby potem te odpadki i nie byłoby dziś gawędy [2]).

Zgodność zaś artystyczno ideowa ustępów najbardziej udoskonalonych umocniła mię w przeświadczeuiu, że w ostatniej decyzji poety od początku do końca przemawia w tym utworze tożsamo rewolucyjne ja jego indywidualne, i nasze narodowe i wszechludzkie zarazem: filogenezę ze swą ontogenezą, bohaterską przeszłość ojczyzny ze swym osobistym rozwojem duchowym symbolicznie utożsamiając i że jest to więc poemat wyłącznie o Królu Duchu „wiecznym rewolucjoniście“, a nie o królach zarazem innej też kategorji, „wyobrazicielach siły dośrodkowej, organizacyjnej“.

„Idea genezyjska z czasem tak ogarnęła całą istność Słowackiego, że staje się nieodstępnym przyśpiewem wszystkich jego twórczych pomysłów“ — poucza nas Jelenta. I ma zupełną słuszność. To też oprócz zasadniczego króloduchowego i inne też nasze dziejowe prądy ujęte są w tym utworze w symbolikę palingenetyczną (np. Dąbrówka przewiduje iż się przedzierzgnie kiedyś w Jadwigę!) i z tego względu ważne są bardzo wskazania Matuszewskiego w rozprawie: „Król Duch czy Królowie Duchy“; dostojeństwo jednak duchowo-

---

*) Wnr. 19 wkradły się znowu ważne błędy zecerskie. W końcu przedostatniego ustępu (str. 280) opuszczono kilka wyrazów. Należy czytać:... potęga bowiem utwierdzoną i jedynie zwycieską jest tu; On jeden jedyny „w domku twego ducha“ i tenże sam jeden jedyny milczący.. i t. d. W ustępie ostatnim zam. *przed* sobą czytaj *ponad* sobą. Proszę też czytelnika o łaskawe sprostowanie złej składni w nr. 17 w przypisku 5.

[1]) Według mego przeświadczenia mickiewiczowskie 44 nie jest żadną abrakadabrą. Jest to reminiscencja świętojańsko-apokaliptyczna, ukazująca niezachwianą wiarę naszego wieszcza w przyszłość swego narodu. Jest to więc symbol tej wiary— tajemnica tej przyszłośai. Przy każdej innej interpretacji musimy odmówić poetyczności temu wyrażeniu, a wszakże Mickiewicz *w Dziadach* jest nietylko wielkim obywatełm kraju, ale też wielkim poetą przedewszystkiem. Bardzo też mądrze tym, co szukali w tej liczbie nie poezji lecz jakiejś łamigłówki, na zapytanie co ona znaczy, podobno odpowiedział: nie wiem.

[2]) Łatwo przekonać się z innych pozostałości rękopiśmiennych (np. z *Zawiszy Czarnego*, ze *Zborowskiego*...) że nietylko *Król Duch* sprawił Słowackiemu tak wiele trudu, nie miał on tej łatwości pisania, jaką podziwiamy u niektórych współczesnych nam zdolnych rymopisów.

królewskie stosuje Słowacki tylko do swoich duchów: lucyferowych, odśrodkowych, rewolucyjno-twórczych i one tylko skojarzone w jedną jaźń są — powtarzam — wyłączną treścią tego utworu. Duch „dośrodkowy“, organizacyjny, duch przewodników narodowych kategorji Mickiewiczowskiej, którego głosi zaniechany i przekreślony później chór w *Zawiszy Czarnym* (być może pierwsze to błyśnięcie późniejszego wielkiego pomysłu!) dla przeciwstawienia tylko występuje w Słowackiego twórczości w okresie genezyjskim. Jako więc tylko kontradykcja są oni w półcieniu ujawnieni w tym jego utworze i w takim tylko znaczeniu mogliby się choćby nawet wyraźniej ujawnić, gdyby rzecz wykończona została. Dominującym jest tu bowiem tylko jeden z dwuch owych Bogów na przeciwnych słońcach, lecz zważmy, że i drugi przez twórczość jest tu we wszechczłowieczeństwie pochłonięty i tak staje się synteza z punktu widzenia Słowackiego — synteza oczywiście ludzka, relatywna, a nie boska absolutna. Synteza życia z króloduchową rewolucyjną dominantą [3]).

„A czy to cudzą powieść, czyli własną śpiewam, niechaj nikt o to mnie nie pyta“ — ostrzega Słowacki. Bo zaiste niedorzeczne jest takie zapytanie. Król Duch w widzeniu swego twórcy to ludzkość w swym pochodzie naprzód i *żywy* naród polski, i sam Słowacki więc i Mickiewicz zarazem [4]) i każdy z nas, jeśli tylko nie jest „piekielnym duchem w przeszłość odwróconym“, ale czujnym „żórawiem z szyją wyciągniętą w przyszłość“, wiernym synem ojczyzny. Każdy z nas! Bo ta dłoń nasza i kość i zmysł wszelki i ten duch w nas zatajony i rozświadomiony, czujący i myślący i nasza jaźń, stwarzająca z niepojętego pozaludzkiego żywiołu coraz rozleglejszą i bogatszą ludzką widzialność, to wytwór woli, męki i pracy niezliczonych pokoleń z nieskończoności idących i całym tym dorobkiem, w którym jest ziarno przyszłego ludzkiego wszechzwycięstwa wola nasza osobista i nasza dłoń ma prawo rozporządzać. W tym właśnie tkwi synteza Króla Ducha — tajemnica boskości w nas czuwającej -- w tych, którzy idą naprzód!

„Święci są wszyscy nowi—kto dotknie się nowych!
Ten ręką ducha wiecznie uczuje w płomieniach —
Ja powiadam —“

Te słowa w *Zborowskim* włożone w usta Chrystusowi jakże wybornie tłomaczą całą ideę *Króla Duaha!*

Strzeżmy się więc sądów bakalarskich. Utrzymywać jakoby Słowacki wierzył, iż był realnie najpierw Popielem, potym Mieczysławem, a potym Bolesławem i t. d. zapewne więc nakoniec i jakimś tłustym Sasem, a może i Stanisławem Augustem! i wreszcie samym Słowackim jest tożsamo, coby kto utrzymywał że Dante wierzył w realne istnienie swego piekła, nieba i czyśca, albo że twórca *Fausta* łudził się, jako istotnie ma z djabłem do czynienia. Autor *Króla Ducha* potężne poczucie swej jedności z całą przeszłością narodu przedstawia nam w symbolach Popiela, Mieczysława i Bolesława i w tym znaczeniu sam siebie uważa jako nowe ich wcielenie w stosunku do przyszłości narodowej. Są to więc irracjonalne symbole, tropy poetyckie, a nie żadne sekciarskie zabobony i dogmaty. W przeciwnym razie Słowacki nie byłby wielkim poetą, byłby w najlepszym razie jakimś okultystą i przytem zapewne pisarzem wierszyków bardzo gładkich. [5])

---

[3]) Zmiana tytułu na *Królowie Duchy* nie oświeciłaby też naszych powag, zarzucających Słowackiemu megalomanję i raczej należałoby ich zapytać, dlaczego podobnego zarzutu Dantemu, Goethemu, a choćby i Mickiewiczowi nie czynią. Wielki myśliciel filozof, wielki artysta twórca musi mieć wiarę w siebie, że jest wyższy ponad innych. I ma słuszność, gdyż w tym świecie idei, który stworzył i który mu ogarnia całą ludzką rzeczywistość on istotnie jest pierwszy. Wszystko znane mu co nie z niego wyszło, w tym świecie stosownie do miary uświadomienia przezwyciężone zostało. Że zaś podobny rozmach psychiki przy upośledzeniu krytycyzmu prowadzi do obłąkania to nietrudno wywnioskować, dodajmy tu wszakże nawiasowo, że nie będzie to jednak wcale lombrozowski sposób ujęcia tych zagadnień.

[4]) W dzienniku Słowackiego pod datą 12 Stycznia 1849 r. czytamy: „Mickiewicz ciągle reputację rozumnego człowieka na ofiarę rzuca, bo mu Bóg milszy niż reputacja“. Są to ostatnie słowa w dzienniku Słowackiego. Jakąż więc pociechą przepełnione musiało być jego serce na schyłku życia, gdy czytał w Trybunie ludów artykuły mickiewiczowskie. Przechował się też list Mickiewicza do Zaleskiego pisany na parę lat przedtem, w którym nietylko nie podziela popularnych wtedy sądów o Słowackim, ale daje też Zaleskiemu łagodną, a wszakże bardzo wymowną naukę w tym względzie. O ile sobie przypominam, są tam takie słowa: „Dopóki żyjemy, to jeden drugiego czasami wierzgnie, zwyczajnie ludzie: przyszłość dopiero sprawiedliwie nas osądzi“.

[5]) Zupełnie też słusznie *Król Duch* „zdumiewa nas nietylko uczucia ale i myśli głębokością“ nie idzie jednak za tym, aby ta głęboka mesjaniczna myśl miała prawo z naukowością Korzona lub Askenazego współzawodniczyć. Różne są przecie kategorje myślenia ludzkiego.

Z piśmiennictwa.

Romantyczne historje[1]).

W literaturze nowelistycznej Kornel Makuszyński jest zjawiskiem nawskroś oryginalnym. Nowele jego cechuje szeroki giest pisarski—zjadliwa, lecz wytworna ironja i zuchwałość wyobraźni twórczej. Wskutek tego utwory te mają w sobie wiele zapachu serdecznej krwi ludzkiej, przelewanej na rozmaitych kalwarjach życia ziemskiego.

Oto nowela Makuszyńskiego p. t. „Straszliwa przygoda". Autor zaznajamia czytelnika z typem ciekawym i wysoce oryginalnym.

Józef Karczoch—były matador w Sewilji, sprzedawca szkaplerzy w Lourdes, poszukiwacz złota w St. Francisco, jeździec wyższej szkoły w cyrku chicagowskim, wędrowny kaznodzieja i autor tragedji historycznej w wielu obrazach i aktach jest zarazem złodziejem i poetą lirycznym.

Zawód rzezimieszka wprowadza go w kolizje, które autor odtwarza przed oczyma czytelnika z silnym realizmem i plastyką.

. . . „Iest wieczór i pachną bzy; w ich gąszczu kryje się ustronna samotna willa, w której jedno okno oświetlone patrzy z głupia w zmrok wieczorny. Karczoch krąży dookoła jak zadumany, samotny włóczęga, który przyszedł słuchać słowików".

Rozanielił go cichy wieczór wiosenny. Karczoch obejrzał się kilka razy i zaczął mozolnie przełazić przez sztachety. Następnie wsunął się przez drzwi, piruetem wężowym wślizgnął się do mieszkania i oto widzimy go jak szereguje według wagi i wartości znajdujące się w salonie przedmioty. Ale spłoszony przez gruchającą w willi parę kochanków, Karczoch zmuszony jest salwować się ucieczką, skacze przez okno. Tu jednak spotyka się z mężem damy, którą widział w willi w objęciach kochanka.

Sytuacja staje się oczywiście ciekawą Makuszyński pastwi się nad niefortunnym złodziejem i zdradzanym mężem na modłę dziekana z Saint Patrick, sławetnej pamięci autora „Podróży Guliwera". W końcu następuje pojednanie. Zdradzony mąż ułatwia rzezimiszkowi wejście do mieszkania przez okno w celu wypłoszenia gacha; sam zaś staje przed oknem z mocnem postanowieniem zemsty. Józef Karczoch jednak—najmilszy ze złodziei, poeta liryczny i dramaturg nie wydaje kochanków na pastwę męża tygrysa, ucieka on przez inne okno, rozumie się, że nie z próżnymi kieszeniami.

Pozostałe w zbiorze nowele (Poeta w opresji Przykre położenie. Dwaj samobójcy. Bezczelna figura i Biedny człowiek) w koncepcji i wykonaniu posiadają wszelkie zalety pierwszorzędnego pióra, a sam autor głęboko określa swój stosunek do sztuki, gdy do jednego ze swych bohaterów zwraca się z tymi słowy: Panie Tworowski! życie się na was pomści okropnie. Teraz was dotknęło ciężką ślepotą...

„Jak nocne ptaki, nagle w słońcu oślepłe szuka was cała gromada drogi, której z was żaden nie znajdzie, bo wasze wszystkie drogi prowadzą na cmentarz, na którym jednak nikt nie leży, na którym bielą się groby tylko symboliczne...

„Ukorz się p. p. Twar. powieś na kiju tę płachtę, która miała być twoją zwycięzką chorągwią! Uczyń z tego wymiętego sztandaru straszak na wróble, a sam orz rolę, potem ją własną krop krwią ze skroni, użyźnij wysiłkiem i męką, pręż krzyże, pług drewniany ciągnij po niwie wyschłej od pragnienia dżdżu, a kiedyś dopiero, kiedy ci od pracy straszliwej plecy w kabłąk wygną, zapragnij ciszy i modląc się szumem krwi—poemat napisz" (str. 179).

W poprzednim zbiorze nowel zatytułowanym „Rzeczy wesołe" widzieliśmy oblicze autora uświadomionego co do moralnej wartości kobiety—z kart „rajskich opowieści" przeglądała psyche sentymentalnego słowianina, który dlatego jedynie stał się pogromcą rodzimej menażerji, że ją tak bardzo kiedyś umiłował. W „Romantycznych historjach" widzimy w Makuszyńskim inkwizytora, który pastwi się nad całym szeregiem postaci ludzkich, obmyśla dla nich niebezpieczne sytuacje, kreśli plany zasadzek, płata im na każdej stronicy ucieszne figle, w końcu zaś, jako ów Zabokrzycki z noweli „Przykre położenie", podaje bohaterowi swemu uprzejmie palto i zrzuca go ze schodów.

---

[1]) Kornel Makuszyński. Romantyczne historje. Nakład księgarni B. Połonieckiego we Lwowie 1901 r. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Satyrykowi tego rodzaju co Makuszyński potrzebnym jest styl. Autor „Romantycznych historji" go posiada. Pierwsze ziarnka stylistyczne zebrał był w cierniowym ogrodzie A. Nowaczyńskiego. Dzisiaj przeistoczyły się one w jędrne róże, dojrzewające pod wpływem subtelnej a ożywczej ironji autora, jak pod promieniami wiosennego słońca.

Sztuka pisarska autora „Romantycznych historji" nie wiele ma wspólnego z salonowym „anekdociarstwem" nowelizujących literatów — utwory jego wszędzie cechuje męzkość objawiająca się w stylu jędrnym, potoczystym, miejscami nawet zuchwałym.

Antoni Nowacki.

„En-tout-cas".

Pisarz rosyjski Mikołaj Siemionowicz Leskow napisał nowelę p. t. „En-tout-cas". Bohaterem jego utworu jest szynkarz w jakiejś pogranicznej mieścinie Galicji. Poprzednio szynczek należał do ślamazarnego eks-powstańca, na którego twarzy autor odczytywał głęboką zadumę, kto wie, może nad losem rozproszonych legjonów...

Ekspowstaniec jednak znikł; zabrał swe serdeczne dumy do zimnej mogiły, szyneczkiem zaś, z kolei rzeczy, zawładnął nowy, pulchny, uśmiechnięty właściciel, istny przeciętnik szynkownianego pogwaru, absolutne en-tout-cas. Przeczytajcie nowelę Leskowa a będziecie wiedzieli, że pszczółka świata duchowego ludzi, z których życie wyciska mądrość narodów to taki właśne potworek parlamentarnej większości, takie społeczne zero, takie wszystko i nic, półbożek i półprosię a właściwie taka z miedzianym czołem maszyna do omłotu pustej słomy.

Jeżeli się nie mylę, to niema u nas instytucji, w której taki en-tout-cas nie święciłby swoich trymfów.

Na prowincji inżynier kręci piguły, w mieście stołecznym aptekarz zakłada instalacje elektryczne, w przedsięwzięciach użytku publicznego kręcikorbą jest kamienicznik zatwardziały, który niby zawodowy kataryniarz przytupuje sobie jeszcze obcasem do taktu:

Śmiej się pajacu...
A tłum oklaski dał

I tłum, ten nasz, toczony przez sztucznie kultywowanego raka analfabetyzmu, ten biedny, upośledzony, wydziedziczony tłum wali w opuchłe dłonie i woła jeszcze głosem ochrypłym: bis!

I dziwnym byłoby skąd bierze się taka powolność, nawet względny entuzjazm mas- gdyby sekret nie był znaną powszechnie tajemnicą poliszynela.

Jeśli chcesz kogo ogolić tak, aby był z tego zadowolony, musisz go uprzednio namydlić należycie.

A taki en-tout-cas, który goli swoje otoczenie gruntownie, ma swoich przyjaciół zawodowych mydlarzy.

Klasyczny przykład tego rodzaju kompletu dają nam dni ubiegłe.

Konduktorzy i motorowi tramwajów warszawskich ropoczęli strajk.

Mieli za sobą słuszność tak bijącą w oczy że nawet zarząd, choć przecie dbały o swe interesy, obiecał polepszenie opłakanych warunków bytu.

Dość powiedzieć, że za 8—9 godzin ciężkiej na dobę pracy otrzymują od rubla do rubla czterdziestu kopiejek dziennie, że tak zwany „etat" wynosi od 35—50 (w wyjątkowych wypadkach) rubli miesięcznie. Dość, że za dni, choroby nie są płatni wcale, że lekarz i lekarstwo należy do mytów, że kary strącane co miesięc czynią od 7—15 rb. na osobnika, że wreszcie zarząd dopuszcza się bardzo ciekawych kombinacji przy wydawaniu umundurowania, opóźniając to wydawanie i licząc termin roczny od dnia opóźnienia; dość, aby przecież ogół współczuł ich doli i platonicznie objawił im owe sympatje.

Aliści odmówiła im tego.. „opinja".

Zarządca przedsiębiorstwa, przynoszącego 33 procent zysku, zawodowy en-tout-cas, golarz społeczny, inżynier, aptekarz i kamienicznik zażywa wczasów zagranicą. Zaskoczony został przez strejk, jak zapewnieją, niespodzianie.

Nie mógł krzyczeć i wyręczył go przyjaciel, mydłek zawodowy.

W № 451 Słowa znajduje się w zakończeniu dłuższego artykułu o strejku tramwajowym taka uwaga:

„Otóż ten świat wypowiedział swoją opinję o strejku tramwajowym. Wypowiedział ją w sposób wyraźny, nawet dobitny, nie ulegającym fałszowaniu językiem czynu: *używał on tramwajów, prowadzonych przez motorniczych, dozorowanych przez żandarmów i obsługiwanych przez konduktorów, strzeżonych przez żołnierzy.*

Tramwaje na Marszałkowskiej ulicy i Krakowskiem przedmieściu bywały nieraz dość mocno wypełnione; na Granicznej, na Elektoralnej, na Nalewkach, na Chłodnej, w starej dzielnicy miasta były one często pełne. Wchodził tu bowiem w grę element wyższy, imperatyw kategoryczny, który się nazywa zarobkiem codziennym, albo prościej i bezwzględniej mówiąc: chlebem powszednim.

Sama służba tramwajowa miała jaknajlepszą okazję do poznania głosu opinji publicznej w tej sprawie..."

Uwaga jest w redakcji swojej conajmniej—cyniczna a jednocześnie też jest i niezręcznie cyniczna, bo odsłania karty jej ojców duchowych i dyskredytuje ich fałszywą grę.

„Dziennik Kujówski" pisze: „Od 30 przeszło lat obserwujemy w Kutnie zjawisko, zdumiewające swą conajmniej niekulturalnością i bezwstydem. Oto, przechodząc ul. Królewską na którejześrodkowany jest cały handel miasta, gdzie jest kilkadziesiąt sklepów, wyłącznie prawie żydowskich, widzimy znaczną większość, najmniej 75 proc. szyldów, mających napis tylóo w języku urzędowym, z pominięciem języka polskiego".

Co by też p. Erazm Piltz, redaktor politycznego „Słowa", dyrektor Polskiego biura pracy społecznej i t. d. powiedział, gdybyśmy tę drugą notatkę z Dziennika Kujawskiego opatrzyli uwagami skrojonemi na obraz i podobieństwo jego?

Jeżeli bym napisał:

Otóż ten świat kutnowski wypowiedział swą opinję o tych sklepach używających szyldów wyłącznie w języku urzędowym. Wypowiedział się w sposób wyraźny, nawet dobitny—nie ulegającym zafałszowaniu językiem czynu; chodzi do tych sklepów, kupuje w nich różne towary i daje ich właścicielom możność zarobkowania na swoje utrzymanie.

Wchodzi tu bowiem... i t. d."

P. Erazm Piltz, redaktor wysoce politycznego „Słowa" powiedział by niezawodnie, że ja mu coś imputuję, tymczasem przeciwnie.

Nie imputować, ale amputować możebym chciał mu ową możność wypisywania na cierpliwym papierze rzeczy, które z łatwo zrozumiałych przyczyn tak trudno jest zwalczać a które przecież nie są niczem innem, jak rodzajem mydła na golone przez całą czeredę rozmaitych en-tout-cas brody.

Jak ja to widzę.

Poor Yorick.

— **W to im graj.** Na mocy decyzji władz petersburskich odebrano debit pocztowy w Cesarstwie i Królestwie gazetom niemieckim: „Frankfurter Zeitung" i „Berliner Tageblatt". Oczywiście zakaz ten nie dotyczy redakcji, które będą otrzymywały pisma te, jak dotąd. Będą więc mogły i nadal przedrukowywać ztamtąd wstępne artykuły, lecz czytelnik nie będzie miał możności sprawdzenia tej manipulacji.

Jednak dla naszej prasy rząd jest istotnie łaskaw.

— **Wymowny arcypasterz.** J. E. ks. Bilczewski, poświęcając sztandar cechowy, wygłosił nader ciekawą i charakterystyczną mowę, z której przytaczamy parę cenniejszych ustępów: —

...„staram się o ile jest w mojej mocy, popierać moralnie i materjalnie Związki cechowe i zawodowe. Ale żądam przytym jasno i stanowczo spełnienia trzech warunków, mianowicie, by organizacje te stały szczerze na gruncie katolickim"...

Jest to typowa szlachetność księża: kto jest „szczerze katolicki", ten zasługuje na poparcie, kto natomiast stoi na gruncie idejowym, ten godzien jest ginąć bodaj głodową śmiercią.

A dalej.

...„Mam prawo żądać, aby (krytyka) nie posuwała się do niegodziwych oskarżeń i zarzutów, jakobym ja podtrzymywał strejki... na niekorzyść robotników"...

Istotnie, smutek czcigodnego monsignora pojmujemy i, korzystamy z okazji, by wyrazić mu swe współczucie i zapewnić, że nie podejrzewamy go bynajmniej o rzecz tak brzydką, jak popieranie strejkujących robotników.

— Odwaga cywilna „Kurjera Lubelskiego". W „Kurjerze Lubelskim" (№ 224) czytamy: „cała prasa warszawska zajęta jest ważnym (?) ruchem antysemickim w obozie postępowym... Charakterystyczne przytym jest to, że z dwóch przeciwnych stron powołano się na umieszczony w № 218 „Kurjera" artykuł d-ra Biernackiego i p. Kempner twierdzi, jakoby dr. Biernacki był przeciwnikiem o d ż y d z a n i a p o s t ę p u, pani Moszczeńska zaś przypisuje d-rowi Biernackiemu wprost przeciwne poglądy".

Na tym „Kurjer" urywa swe wywody. A szkoda, bo należałoby przecież wypowiedzieć się jasno, aby nie dawać pola do dalszych nieporozumień.

Chyba redakcja „Kurjera" ma wyrobione zdanie własne w tej kwestji, jeżeli więc nie wypowiada go, to chyba przez... nadmiar odwagi cywilnej.

— Jeszcze asemityzm postępowy (?) Wywołana przez zaczepki „Trybuny" i bujny temperament redaktora „Myśli Niepodległej" polemika o „odżydzanie postępu" zatacza coraz szersze kręgi, lecz przełomu na lewicy, o którym pisała p. Moszczeńska, jakoś nie widać! Żadne z pism istotnie postępowych nie chce jakoś przyjąć nowych i specyficznych „walorów" stworzonych w gorączce polemicznej. „Dziennik Petersburski", wydawany przy bezpośrednim współoracowwnictwie byłego posła Lednickiego oraz posła gen. Babiańskiego ostro karci wybryki „asemickie" i psze między innymi:

„Gdy minie szał polemiczny, niewątpliwie sam redaktor „Myśli Niepodległej" dojdzie po wniosku, iż jego artykuły t. zw. „asemickie" nadają się do „Dokumentów XX-go wieku"; tymbardziej polemizować nie będziemy z „Kurj. Por." który najwidoczniej pozazdrościł laurów „Dniowi"...

Artykuł ten jest niepodpisany, a więc wyraża ściśle pogląd redakcji.

W „Kulturze Polskiej" obok wyrazów potępienia na które godzimy się bez zastrzeżeń, pod adresem tych ortodoksyjnych marksistów, którzy lekkomyślnie traktują sprawę narodową, znajdujemy następujące zdanie pod adresem nowo upieczonych „asemitów".

...„gdyby nawet śród grabarzów „trupa" Polski byli żydzi, to nie należy wydartymi z ich rąk łopatami rozbijać głów tym ich szczepowym krewniakom, którzy z miłpscią odczuwają jej niedolę, z czcią patrzą na jej wysiłki, a zwiarą w jej żywotność, zwlaszcza, że jest ich wielu".

Jak więc widzimy po stronie „asemitów" bez zastrzeżeń stanęli sami tylko inicjatorzy ruchu: p. Niemojewski i p. Moszczeńska. Nawet „Prawda" poczyna wycofywać się z niebacznie przedsięwziętej awantury i w N-rze 40-m zastrzega się iż występuje tylko przeciw tym żydom, którzy swobodnie „Natrząsają się n a d Polską i jej nadziejami".

Bardzo to ładne, tylko poco „Prawda" natrząsa się n a d gramatyką i stylistyką polską, ubarwiając swe łamy polszczyzną tak... litwacką.

Wreszcie tygodnik wileński, „Nowe Życie" w następujący sposób charakteryzuje metody polemiczne, które rozwielmożniły się ostatnio w naszej prasie:

...„Sądzimy, że wystarczy ta próbka (wymysłów zamieszczonych, w „Młocie" — P. Y.) umyślnie z opuszczeniem wielu obelżywych wyrazów. Postawienie przeciwnikowi alternatywy „prowokator albo pasorzyt warunków policyjnych" dowodzi naszym zdaniem niezwykłego b a r b a r z y ń s t w a s t y l i s t y c z n e g o — i z natury rzeczy dalszą polemikę uniemożliwia"...

Omawiając z kolei replikę p. Niemojewskiego, autor pisze:

...„Twierdzimy: o ile alternatywa „Młota" pod adresem p. Niemojewskiego była stylistycznym barbarzyństwem, o tyle zwrot p. A. Niemojeskiego — wyszukiwanie o b j e k t y w n y c h p o z o r ó w dla zachwiania czci politycznej p. E. Truskiera określić musimy jako p o l e m i c z n ą n i e g o d z i w o ś ć".

— Trup w sofie. Zabójcą słynnego nieboszczyka. znalezionego ongi w sofie okazał się zakonnik z Jasnej Góry, O. Macoch. Jak więc widzimy szaty zakonne, „świętobliwy" żywot i płaszczyk chrześcijański nie chronią bynajmniej przed zbrodniczymi instynktami.

Z tego powodu O.O. Paulini wydali odezwę w której słusznie mienią zbrodnię tę „hańba dla zakonu", którą to hańbę pobożni ojcowie pragną odczynić... modłami.

W swoim czasie (po kradzieży na Jasnej Górze) „Myśl Niepodległa" słusznie domagała się kontroli publicznej nad klasztorem. Obecnie morderstwo, dokonane przez członka zakonu spopularyzuje wśród ogółu tę ideę.

Czas już najwyższy przystąpić do tej kontroli!

— Ile kosztuje socjalista polski. Pod tym wymownym tytułem zamieszcza rozkiełznany „Dzień" notatkę, w której czytamy, iż w Poznańskim socjalizm polski istnieje wyłącznie za pieniądze niemieckich towarzyszy, którzy wypłacają polskiej prasie socjalistycznej przeszło 100 tysięcy marek zasiłku.

Istotnie jest to bardzo smutne, że w Poznańskim Polacy nie popierają w dostatecznym stopniu socjalistów, jedynych w Niemczech szczerych wrogów hakaty, militaryzmu i despotyzmu.

Ale złośliwość „Dnia" jest zgoła nie na miejscu. lepiej jest bowiem, gdy bogata partja socjalistyczna wypłaca na uczciwe pisma polskie sto tysięcy marek, niż gdy nędzarze z Królestwa płacą parę miljonów rubli rocznie rzymskiemu papierzowi, a u siebie w domu nie mogą zdobyć się na utrzymanie placówek kulturalnych lub filantropijnych.

WARUNKI PRENUMERATY:

W WARSZAWIE:

rocznie	rb. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Na prowincji i Zagranicą:

rocznie	rb. 10.—
półrocznie	„ 5.—
kwartalnie	„ 2.50

Redaktor przyjmuje od godz. 4 pp. do 6.

Cena pojedyńczego numeru kop. 15.

CENY OGŁOSZEŃ: Za $1/6$ strony 1 raz 8 rb., 4 razy 25 rb., 10 razy 60 rb., 52 razy 280 rb.

Kierownik pisma **Stefan Gacki.** Redaktor i wydawca: **Anna Herszfinkiel.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47. Tel. 35-80.